Dawno temu w Holandii — mike17

Od autora: Czy miłość to przypadek, czy też przeznaczenie? Czy mamy ją w ręku, czy też przychodzi ot, tak, od siebie? Odpowiedź na to pytanie znajdziecie w tej miniaturze. Zapraszam do czytania i dzielenia się przemyśleniami.

Był ciepły wrzesień 1944 roku, w Holandii.
Spadaliśmy z nieba jak gęsty grad, jak zapowiedź tego, co miało nastąpić.
Obok nas lądowały trzy amerykańskie brygady powietrznodesantowe, co w jakiś sposób dodawało nam otuchy i wiary, że mamy po swojej stronie tak silnego sojusznika.
Nie wszyscy z nas mieli to szczęście dobrze wylądować, co więcej, straty w ludziach były ogromne, bo wielu z nas zostało zabitych już podczas spadania, wielu na ziemi.
Kiedy mnie zniosło, był bardzo silny wiatr, i nikt nie usłyszał mojego krzyku, ponieważ powstał ogromny harmider i zostałem pozostawiony sam sobie.
Padłem płasko na ziemię i wszystkim, co poczułem, był wielki ból nogi.
Kiedy próbowałem nią poruszać, wydawała się bezwładna i sflaczała.
Wtedy zrozumiałem, że doszło do poważnego złamania.
Wzywałem pomocy, ale w całym tym zgiełku nikt mnie nie usłyszał, nikt mi jej nie udzielił, podczas gdy ja nie mogłem się podnieść, i w tym wszystkim zostałem uziemiony i pozbawiony szans na ratunek.

Krzyczałem, ale na nic się to zdało, płakałem, ale mój płacz porwał bezlitosny wiatr…
I tym, co zapamiętałem z tamtej podłej chwili był ów złowieszczy skowyt powietrza.
Jak piekielny śpiew, jak diabelski zew, dający mi do zrozumienia, że źle ze mną.
Wlokłem się po ziemi w kierunku głosów, ale one zanikały z minuty na minutę.
Gasły gdzieś w oddali, kiedy moje siły były już na wyczerpaniu.
Pełzłem na plecach, odpychając się jedną zdrową nogą.
Ale coś mi mówiło, że to już długo nie potrwa, że lada moment zasłabnę i umrę.
Wtedy przyjdzie do mnie Jezus i mnie stąd zabierze, jak obiecywał.

Jak przez sen usłyszałem:
- Mała, tu ktoś leży, to żołnierz.
- Tak, tato, chyba jeszcze żyje.
- Trzeba mu pomóc, podnieśmy go i zanieśmy do chałupy. To nie Szwab. Jeśli przybył tu z innego zakątka świata, to trzeba zobaczyć, czego mu potrzeba.
- Tak, tato, musiał się nieźle poobijać.
- Uradzisz?
- Jasne. A jak nie, będziemy go ciągnąć po ziemi.
- Ireno, gdyby nie my, z pewnością by umarł.
- Tak, tato, nie miałby żadnych szans.
- Miał wielkie szczęście. Sama widziałaś, strzelali do nich jak do kaczek.
- Spójrz na jego nogę – jest złamana. Umiesz się tym zająć?
- Tak, jakoś sobie z nim damy radę.
- To dobrze, bo jest jeszcze bardzo młody. Szkoda człowieka.

Słyszałem każde słowo, choć byłem umierający i nieprzytomny.
Jak to możliwe?
Choć nic nie rozumiałem, wiedziałem, że chcą mi pomóc i mnie tu nie zostawią.

A jednak – takie rzeczy się zdarzają, kiedy człowiek mocno trzyma się życia.
Kiedyś czytałem w książce o parapsychologii, że w chwili śmierci człowiek jest jeszcze świadomy, więc wtedy, tam, w tym lesie, balansowałem na cienkiej linie…
Już w zasadzie mnie nie było, choć jeszcze kurczowo trzymałem się bytu.
Bardzo mocno, i nie wiem do dziś, skąd ta siła pochodziła.
Jakbym oczekiwał pomocy z zewnątrz, jakbym czekał, że może, ktoś…
Że są na tej ziemi siły, które potrafią postawić człowieka na drodze innego człowieka.
I wydobyć go z zapaści, podać rękę i uchronić od czarnego całunu śmierci.
Kiedy potem wszystko stało się jasne, wierzyłem, że Bóg istnieje.

- A ktoś ty za jeden, żołnierzu? - zapytał po holendersku Thomas, ojciec Ireny.
- Jestem Janek, z 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej generała Sosabowskiego, Polak.
Źle wylądowałem, i teraz macie ze mną problem. Tyle skoków i nic, a teraz… Po prostu mi się nie udało. Spadłem jak kamień. I dalej już nic. Zdany tylko na innych.
- Nic nie rozumiem – powiedział stary.
- Mówisz po angielsku?
- Ja trochę, ale Irena dość dobrze.
- To może z nią porozmawiam?
- Dobrze, Janku, opatrzyłem ci nogę deszczułkami, już teraz będzie się dobrze zrastać.
- Tata opatrzył ci nogę, była złamana – powiedziała Irena.
- Bardzo wam dziękuję. Mogłem umrzeć, tam, w lesie.
- Byliśmy wtedy na grzybach, kiedy lądowaliście. Ty nie miałbyś żadnych szans z tą nogą.
My musieliśmy się tam znaleźć, by ci pomóc. To przeznaczenie, wierzysz w nie?
- Tak. W poprzednich akcjach miałem szczęście. I też ratowali nas ludzie. Więc wiem, że Bóg staje na drodze, by podać ci rękę. By nie dopuścić do upadku. Byś powstał. Jest.

I wtedy zauważyłem, jakby przypadkiem, że jest piękna, niewybaczalnie urocza, jakbym miał kontakt z aniołem, który całując mnie, wciąga w inną krainę, pełną harmonii i radości.
Miała ten czar rozkwitającego kwiatu, działający mocno na zmysły
I było to piękno absolutne – niewypowiedziane, nienazwane, nieokreślone.
Patrząc na nią miało się wrażenie, że obcuje się ze sztuką, z czymś, co wymykało się ludzkiemu wrażeniu, jakby tu, na ziemi, działy się rzeczy nieziemskie, a z nieba spływały te, które miały zaskoczyć i pozostawić w niemym zachwycie.
Wysoka, ze ślicznymi blond włosami, o smukłych dłoniach i niebieskich oczach.
Jej głos płynął jak aksamit w powietrzu, był jak najpiękniejszy śpiew ptaków.
Przez chwilę poczułem się zaszczycony, że się mną opiekuje, bo nie miałem zbyt wysokiego mniemania o sobie, ot, metr siedemdziesiąt, brązowe oczy, czarne włosy, niezbyt tęgiej budowy, po prostu przeciętniak.
Nie oceniałem się tak, jak oceniłem ją.
Poczułem, że z każdym dniem staje się coraz bliższa, coraz bardziej moja.
Nie wiedziałem, czy ma chłopca, nie wiedziałem nic, ale coś mnie do niej ciągnęło.

- Janku, jak tam twoja noga? – spytał stary.
- Jakoś mniej boli, ojcze.
- To dobrze, znaczy, że się prawidłowo goi.
- A gdzie Irena? – zapytałem.
- Karmi kaczki.

- A zajrzy do mnie?
- Na pewno.
- To powiedz jej, że czekam.
- Zrobię to na pewno.
- Ojcze, czy nie jestem wam ciężarem? – spytałem.
- Niemców się nie boimy, więc śpij spokojnie.
- To miłe. Bo już myślałem, że może…

I przyszła, i pozostała.
Choć miałem nogę w deszczułkach, byliśmy tej nocy razem.
Pieściłem jej sutki, gładziłem aksamitne ciało, cieszyłem się przepychem piersi.
Moja dłoń swobodnie wędrowała po jej pośladkach, i kiedy już mnie zapragnęła, wszedłem w nią i byłem długo, tak długo, jak się jest w kobiecie, którą się naprawdę kocha.
Potem nasze ciała się splotły i leżeliśmy tak przez jakiś czas.
Gdzieś obok płynęły ciche minuty…
- Janku, nigdy nie byłam z mężczyzną. Poczułeś to?
- Nie
- Kobieta wtedy trochę krwawi. Mnie się to nie zdarzyło. Czyż to nie dziwne?
- Może, Ireno, było ci to pisane. Miłość, na którą warto czekać. Ja jestem prostym chłopakiem z Polski, ale wiem, że miłość to coś pięknego, coś, co jest warte każdego złota.
- Przytul mnie.
- Gdyby nie wy, nie byłoby mnie już na tym świecie. Kocham cię, Ireno, pokochałem cię od chwili, kiedy cię ujrzałem, ale nie miałem śmiałości, by o tym mówić. Teraz to robię.
- Kiedy cię znaleźliśmy w tamtym lesie, poczułam coś do ciebie. Współczucie? Litość? Potem zrozumiałam, że to coś innego, że to kochanie, takie proste, zwyczajne, spadające na człowieka jak grad z jasnego nieba. I już z tym zostałam. Wiedziałam, że nie pozwolę ci odejść. Że byłeś tym, na którego od zawsze czekałam, którego pragnęłam.
- Nigdy bym tego nie zrobił.
- Czyli zostałbyś w Holandii?
- Tego jeszcze nie wiem. Może zabrałbym cię ze sobą to mojego kraju?
- A gdybym nie chciała?
- Jakoś bym cię przekonał.
- I już zawsze rozmawialibyśmy po angielsku?
- Chyba tak.
- A może ja bym chciała, byś ty został z nami?
- Musiałbym to mocno przemyśleć.
- Źle ci tu, żołnierzu?
- Nie, ale do ojczyzny coś człowieka ciągnie.
- Niemcy zabronili nam używania radia, więc nawet ci nie powiem, co słychać w twoim kraju.

Znów pewnego dnia byliśmy ze sobą, znów miałem łzy w oczach, bo czułem miłość tej małej, jej przywiązanie i oddanie, i coraz bardziej byłem z nią, jakbyśmy byli sobie zapisani w gwiazdach, by wspólnie odbyć tę niezwykłą drogę przez życie, razem, w miłości.
I w namiętnych chwilach odnajdywać siebie, swoje „tu i teraz", nasze małe „my".
Nie miałem co do tego wątpliwości – los nieprzypadkowo nas ze sobą złączył.

I kiedy oddawała mi swoje młode ciało, ja nie byłem już weteranem wojennym z nogą w deszczułkach,

byłem prawdziwym mężczyzną, który posiada swoją kobietę.
Tuliła się do mnie jak mały kotek, a ja byłem dumny z siebie, że tak mi ufa.
Że zwykły Polak potrafił dotrzeć jej do serca i wzniecić tam żar.
Że nie musiała poczuć do mnie tego, co ja poczułem do niej – mogła uznać mnie za zwykłego żołnierza z odległego kraju i zupełnie zignorować, jednak tak się nie stało.
Jednak cuda się zdarzają.

Karmiła mnie łyżką i całowała w czoło.
Byłem w najlepszych rękach pod słońcem.
Nie wiem, czy jakakolwiek kobieta dałaby mi tyle szczęścia.
Chyba nie, nie wierzę w to.
Z nią nic mi nie groziło, a i stary codziennie do mnie zaglądał i pytał się, jak tam z nogą.
A z nią było coraz lepiej.
Dobrzałem i czułem, że jeszcze tydzień, dwa, a stanę i pójdę na spacer z moją Ireną.
Jakże pragnąłem, by wykąpać się z nią nago w jeziorze, a potem kochać się na pełnej rosy porannej trawie, o tym marzyłem i wiedziałem też, że to się kiedyś spełni.
Była w moich snach, była w nich codziennie.
Nawet nie wiem kiedy, staliśmy się nierozłączni.
Już nie wyobrażałem sobie życia bez niej, i wiem, że i ona tak samo myślała.
Nasze dusze się spotkały.
Serca splotły w jedną więź.
Między nami coś się wydarzyło, i od tej pory staliśmy się jak jedno.
Każdy kolejny dzień upewniał mnie w tym, że byliśmy dla siebie stworzeni.
Już nic nie byłoby w stanie mnie odwieść od tej myśli.
I gdy mnie karmiła, całowałem jej ręce, w podzięce i w miłości.

I nadszedł dzień, kiedy powiedziała mi coś, po czym każdy mężczyzna płacze:
- Janku, będziemy mieć dziecko. Zostaniesz ojcem. Jesteś na to gotów? Wyjedziesz z Holandii i zostawiasz mnie, ot tak? – spytała tego dnia Irena.
- Nie wiem. Zawsze mogę zabrać cię ze sobą – odparłem.
- Ale może ja nie chcę wyjeżdżać – rzekła.
- Wtedy musimy osiągnąć jakiś konsensus – zakończyłem.
- Jesteś już z nami piąty rok. Czy nadal nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce?
- Przy tobie, Ireno.
- Więc nie opieraj się, zostań.
- Nie byłem w Polsce od 1939 roku. Tęsknię za ojczyzną. Możesz to zrozumieć? Mam tam swoje miejsca, swoje pamiątki, swoje małe radości. Rodzinę, której może już nigdy nie ujrzę.
Tam był mój świat. Wszystkie kolorowe obrazy, jakie człowiek widzi w życiu. I co więcej, wszystkie te młode lata, jakie dane mi było tam przeżyć. Czy można to zapomnieć? Wymazać z pamięci? To wrasta w nas. Jest nami. I już nigdy się nie zmieni.
- Czy to jest ważniejsze niż to, że zostaniesz ojcem?
- Nie wiem. Czy miłość do ojczyzny czy do dziecka przeważa?
- Więc po co było to wszystko? Ta nasza miłość? To kochanie?
- Ireno, ja nie mówię temu „nie”.
-To powiedz „tak” lub „nie”.

- A co wy się tak kłócicie? – zapytał stary.

- A o to, czy zostanie – powiedziała Irena
- Tu, z nami, tak? – spytał Thomas.
- Tak.
- O szóstej będą wiadomości. Chciałem ci tego zaoszczędzić, Janku, ale widzę, że musisz poznać prawdę…
- Jaką prawdę? – spytałem.
- A taką, która umożliwi ci podjęcie decyzji – rzekł posępnie stary.

W komunistycznej Polsce wszyscy, którzy są katolikami lub zwolennikami prawicy wylądują wcześniej czy później w więzieniu. W Polsce rządzi banda komunistów, nadanych przez Moskwę. Mordowani są działacze niepodległościowi, żołnierze AK, NSZ, Win i księża.
Na masową skalę stosowane są tortury – wybijanie zębów, łamanie żeber, miażdżenie jąder, odbijanie nerek, łamanie nóg i rąk, wyrywanie paznokci, wyrywanie włosów z moszny.
Żołnierze z armii Andersa to wrogowie ludu.
Zasługują na szubienicę lub po radziecku strzał w tył głowy.
Polskie wojsko z Zachodu to przestępcy i ich miejsce jest w katowniach UB.
Szkoleni przez NKWD mordercy nikomu nie przepuszczą.
Mordują nawet młode dziewczęta związane z opozycją, klawisze gwałcą je i nakazują milczeć.
Sfingowane są procesy sądowe, podczas których skazywani są na śmierć żołnierze AK.
Wszystkie główne urzędy państwowe zajęte są przez sowiecko-żydowską klikę.
Znane są przypadki mordów po cichu, gdzieś w lesie, by było „po cichu”.
Wywożono partyzantów gdzieś w krzaki i tam zabijano.
Kazano im kopać sobie groby, jakby byli ostatnimi z ostatnich.
Na procesy sądowe przynoszono na szmatach polskich bohaterów z połamanymi nogami i rękami, nieprzytomnych, i którzy lada dzień umierali, zakopywani gdzieś pod płotem.
Ci, którzy znaleźli się na Zachodzie, nie mają już po co wracać, chyba że po śmierć.

Chyba że po śmierć…

Leciało to w radio 14 kwietnia 1950 roku.

Poczułem się podle, jak skopany do bólu pies, jak dziwka, której nikt już nie chce.
Mieszkałem w Holandii od kilku lat, nawet nauczyłem się języka dość biegle, ale nie przypuszczałem, że tak źle jest w kraju, że skurwiały do szpiku kości nie jest już wspomnieniem z dzieciństwa.
Oni mi tego nie puszczali – może zakładali, że będę chciał za wszelką cenę wrócić.
Może myśleli, że obudzi się we mnie duch patriotyczny.
A może po prostu zatęsknię za rodziną?

- Thomas, zostaję, już się z tego nie wycofam, i chcę ożenić się z twoją córką – powiedziałem pewnego dnia, dopalając Pall Malla. – Nigdy w życiu nie poznałem takiej kobiety. Jest moim rajem, moim przeznaczeniem. A tam… już nie ma mojego miejsca. Zabrano mi je.
- To świetna wiadomość – odparł stary. – W sumie na to liczyłem. Jesteś dobrym człowiekiem. To się czuje. Takiego mężczyznę chciałem dla mojej córki.
- Chyba musiałeś puścić mi to radio. Inaczej pojechałbym i umarł. Zatłukliby mnie za to, że byłem w Brygadzie. A tak jestem wciąż żywy, i z wami. To już nie jest mój kraj. To jakaś mordownia. A Bóg? A co z Nim? Wywalili Go na śmietnik? I ja mam się z tym godzić? To ruskie bydło chce zalać Europę. Może Amerykanie spuszczą im atom. Za te wszystkie zbrodnie, o jakich zdążyłem się dotąd dowiedzieć.

- Tak, Janku, oni nie przebierają w środkach. Zabiją każdego wroga. I zwalą winę na niego.

20 sierpnia 1950 roku pobraliśmy się w kościele świętego Euzebiusza w Arnhem.
Pogoda nas najwyraźniej rozpieszczała, bo było ciepło i słonecznie.
Zebrała się tylko garstka gości, ale i tak było bardzo miło i dostojnie.
Na ich twarzach malowała się prawdziwa radość, że nam się udało.
Że tak rozbieżne bieguny mogły się połączyć, i dać świadectwo prawdzie.

Pod koniec roku urodziło nam się dziecko, co zmieniło całe moje życie.
Już nie myślałem o komunistycznej ojczyźnie, już nie pamiętałem, że trochę utykam na tę złamaną nogę – byłem wolnym człowiekiem, ojcem i szczęśliwym mężem.

Tylko Thomas zaczął po śmierci Saar ostro popijać, nie mógł znieść straty żony.
Przesiadywał długo po nocy z butelką Whisky na ganku i gadał do siebie.
To go przerosło, czas zatrzymał się, a on odpłynął do krainy prześnionych snów.
Pił na umór, i nic sobie z tego nie robił, po prostu odnalazł sposób na siebie.
Niejednokrotnie podnosiliśmy go z ziemi, gdzie zległ po pijaku.
Kochał jeden raz w życiu i teraz płacił za to wysoką cenę.
Bo miłość prawdziwa zdarza się tylko raz, i potem jest już tylko pustka.

Nie chciał posłuchać.
Był głuchy na nasze prośby, na perswazję, by z tym skończył.
Przynosił ze sklepu pełne plecaki butelek, i spijał się do nieprzytomności.
Pił dalej i trzeba było podnosić go z ganku, gdzie w rzygowinach leżał do rana.
Już nie słuchał dobrych rad.
Pogrążał się w pijaństwie i my, jego domownicy, nie mieliśmy nic do gadania.
On ignorował wszystko, a nasze głosy uważał za przewrażliwienie.
- Dziadku, po co chlasz? – spytałem pewnego dnia.
- Bo ten ból, co jest we mnie, rozrywa mnie na części – odparł z krwią w oczach.
- Może urządzimy sobie piknik?
- A czemu nie. Ale ja muszę mieć flaszkę – zaśmiał się złowieszczo.
- A co chcesz: karkówkę czy kaszankę?
- Karkówkę i dużo whisky.
- Z tym to lepiej uważaj.
- Bo?
- Bo możesz odjechać za daleko..
- Ale mam już przyszykowaną
- No skoro tak…

Urządziliśmy sobie piknik nad jeziorem, jak było umówione.
Na ruszcie piekło się mięso, obok stało schłodzone piwo.
Thomas dość szybko spił się, i po rozebraniu się, poszedł sobie popływać.
Był pijany i niewiele rozumował, ale nie mieliśmy na niego wpływu.

- Ach! Ach!

Wnet dostrzegłem, że Thomas tonie, że idzie na dno.

Cały obraz wydawał się być niesamowicie makabrycznym, by nie powiedzieć, koszmarnym.
Tylko bezładnie szamoczące się ręce świadczyły o tym, że jest z nim naprawdę źle.
Skoczyłem do wody i podpłynąwszy do niego, złapałem go za włosy.
Był bardzo ciężki, i z trudem dopłynąłem do miejsca naszego biwaku.
Chwyciwszy go za ręce, wydobyłem z jeziora.
W ten sposób wydostałem go na brzeg.
Nie było z nim kontaktu, więc zastosowałem usta-usta i ucisk klatki piersiowej.
Wrócił do żywych i wypuścił wodę ustami.
- Ty stary głupku, chciałeś się utopić? – krzyknąłem na niego. – Życie ci niemiłe?
- Eee…
- Czasu już nie cofniesz, rozumiesz? Ja też nie cofnę tego, gdzie dziś mógłbym być.
- Przepraszam…
- Masz rodzinę i ciesz się z tego. Żonie życia nie dasz. Ale możesz żyć dla innych.
Zrozum to. Możesz być komuś potrzebny, jak nic na świecie. Pomyśl, ile dni przed tobą, ile szans na coś dobrego. Chcesz to zaprzepaścić? Ot, tak, bezmyślnie?

- Naprawdę?
- Masz wnuczkę i mnie, to mało? Człowieku, kiedyś to ty mi pomogłeś, dziś ja muszę wziąć cię w ryzy. Odpływasz. Niedobrze. Nie pozwolę ci na to. Masz pozostać tu, gdzie byłeś.
- Janku, wsadź mi łeb pod kubeł zimnej wody.

Kiedy to zrobiłem, oprzytomniał.
Wstał z ziemi i rozejrzał się dookoła wzrokiem dość pewnym.
Na jego twarzy pojawił się uśmiech kogoś, kto wraca.
Poprawił ręką włosy i spojrzał w niebo – co tam chciał zobaczyć – nie wiem.
Po pogodnej fizjonomii spływała woda, a on gwizdał coś pod nosem, jakby nigdy nic, jakby się nic nie stało, a on dopiero wstał z łóżka o ósmej rano i miał zamiar zjeść śniadanie złożone z trzech jajek, by później pobiegać po parku w wygodnych butach jakieś pół godziny.

- Ty polski żołnierzu, dałeś mi popalić – krzyknął Thomas. – I co by było komu z mojego trupa? Użyźniłby glebę? Dał pożywkę robakom? Poszedłbym w niebyt, jak gówno?
- Ojcze, jesteś coś wart, póki żyjesz.
- Masz rację, Janku, czasem tak trudno wejść na właściwą drogę… Byłeś ze mną pod sam koniec. Już nie widziałem sensu w piciu. Piłem z rozpędu. Jak kamikadze.
- Zatem postaraj się odnaleźć siebie.
- Zrobię to. A niech mnie diabli. Czasu nie cofnę. Choćbym pękł. Ale muszę wydostać się z tego bagna. Byłem zapijaczonym zerem, które nie potrafiło pogodzić się ze śmiercią swojej kobiety. Moja żona patrzy na mnie i czeka, aż wezmę się w garść i przestanę chlać. Wtedy będę znowu mężczyzną. Wiem, że Saar mnie widzi i czeka. Jak mogłem być tak głupi? Jak mogłem marnować swe życie?

Kiedy dwa tygodnie później przepisywał dom na mnie i na Irenę, nie zdziwiłem się.
Trochę znałem się na ludziach i wiedziałem, kto jest kto.
Ale ścisnęło mnie za gardło, bo wiedziałem, co on musiał wtedy czuć.
Był bardzo opanowany i nie drżały mu ręce – wręcz przeciwnie – raczył nas swoim uśmiechem i w kółko mówił, że na tę chwilę czekał od śmierci Saar.
Bo był pewien, że tego by chciała, naszego szczęścia i zabezpieczenia.
Czułem, że stać go na wiele, na gest i na ludzki odruch - i dał nam to tak łatwo.

Był na swój sposób szaleńcem.
Tym samym swoją szczerością zaakcentował wdzięczność.
Patrząc w jego szare oczy ujrzałem tam coś, czego próżno szukać u zwykłych ludzi.
Dobro, tak, to było dobro.

Potem wiele razy piliśmy razem piwo, ale nigdy nie pozwoliłem mu skuć się na amen.
Nie dałem mu zgody na mocniejsze alkohole, a on posłuchał.
Zdał się na Polaka z dalekiego kraju, na kogoś szalenie egzotycznego.
Urządzaliśmy grille i śpiewaliśmy szanty.
Grałem na gitarze i nuciłem refreny.
Mocowaliśmy się na rękę i nigdy nie wygrywał.
Wrócił do siebie i starał się trzymać fason.
Jeśli mógłbym coś o nim powiedzieć, to, że przeszedł daleką drogę.
Śpiewał jak główny tenor, a ja, przyglądając mu się z boku, cieszyłem się w duchu, że wyszedł na ludzi i nie utonął.

Cykl: Bo kiedyś kochałem

6 sierpnia 2019

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 02.10.2019 09:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.